

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

STARA BAŚŃ, TOM TRZECI

Józef Kraszewski

Stara baśń, tom trzeci

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=23542138

Stara baśń, tom trzeci:

Аннотация

Ciesz się klasyką! Miłego czytania!

Содержание

Tom III	4
I	4
II	25
III	38
Конец ознакомительного фрагмента.	52

Józef Ignacy Kraszewski

Stara baśń, tom trzeci

Tom III

I

Na spustoszonej grodzie Chwostkowym zwołano wielki wiec kmieci o następnego miesiąca¹ pełni.

Trzema jednak dniami wprzód, gdy księżycowej twarzy wiele jeszcze brakowało, by pełną była, starszyzna już się po dworach i zagrodach zbierać, radzić i wadzić zaczęła. Wszystko zapowiadało, że na tym zgłiszczu, co tyle okropności widziało, i wiec spokojnie nie przejdzie.

Ścibor do swoich jadąc, stanął po drodze u Piastunowego dworka, chcąc go też z sobą na radę powołać.

– Jam się tam wam do niej nie przydał – odpowiedział mu syn Koszyczków – a wolę moje barcie podpatrzeć... Moźniejsi niechaj stanowią, jam ubogi człek i przodować nie chcę, bo się na siłach nie czuję... Nie nawykłem do tego, a rozkazywać nie umiem, ino pszczołom moim, które słuchają mnie... i czeladzi,

¹ *miesiąc* (daw.) – księżyc. [przypis edytorski]

która sprzeczną nie jest. Życzę wam tylko, abyście poczynali w dobry czas, a pośpieszali z wyborem wodza... Niemców tylko co nie widać, gdy zwietrzą, że wodza nam braknie... Stójmyż z sobą po bratersku za jedno... Ja, co mi nakażecie, zrobię, a co robić trzeba, to wy lepiej wiecie...

Ścibor się mu uśmiechnął, potrząsając głową.

– Waszego by to nam bartniczego rozumu potrzeba, miły ojcze – rzekł – bo się u nas nie na pogodę, ale na straszny wichor zanosi. Leszków krwi, pomniejszego drobiazgu, zostało dużo, a naszych też kmieci, witeziów² wiele takich, którzy by radzi na gród się dostać chcieli i kneziować... Nie pójdzie nam łatwo...

Westchnęli oba; ale stary gospodarz przy swoim stał, aby raczej do pszczoł iść niż do ludzi. Żegnali się więc u wrót, a Piastun na plecy kobiałkę wzięwszy, do lasu co prędzej uszedł i drudzy jadący na wiec mimo zagrody, co później o niego u czeladzi i niewiast pytali, dowiedzieli się tylko, iż go dawno doma już nie było.

Ciągnęli kmiecie ze wszech stron nad Gopło, jechali i Leszki ponuro patrząc, ze strachem w sercach, ale nie chcąc ustąpić. Myśleli może, iż gdy się na innych nie zgodzą ludzie, do nich powrócą. Spotykano się po drodze milcząc i nieufnie oczyma mierzono.

Miejsce na wiec pono³ takie wybrane było, ażeby nagłość sprawy przypominało.

² *witeż* – rycerz, pan feudalny. [przypis edytorski]

³ *pono* – podobno. [przypis edytorski]

Świeże gruzы, żużle ledwie ostygłe, sterczące z nich belki czarne, krwią jeszcze niewsiąklą ociekła ziemia, opustoszała wieża, z której trupy pozrzucano do jeziora, pozakopywano i popalono, aby powietrza nie psuły; wszystko to napominało, ażeby wodza nowego niebawem obierać, bo pomsta za Pepełka nadciągała.

Roilo się już przybywającymi kmieciami, żupany, władkami dokoła, a coraz to nowi jeszcze przybywali. Jedni stali z końmi czekając, rychło się co pocznie, drudzy popuszczawszy je na paszę, pokładli się na ziemię, inni chodzili od kupy do kupy rozwiadując się i dostając języka.

Wszystkim było jawne, że te Myszki, które Chwostka zjadły, będą górą, ale nie wszyscy za nimi i z nimi trzymali.

– Choć to czysta kmieca krew nasza – mówili – ano za łeb by nas wzięli pewnie jak tamten, któregośmy pozbyli.

W gromadzie znajdował się i uzdrowiony już Doman, i Ludek Wiszów syn, i innych wielu, nawet z kończyn ziemi i z puszczy a lasów, upatrywano tylko Piastuna próżno.

– Ten by się nam tu zdał – mówiło wielu – człek prosty, a rozum ma zdrowy, bystrzej widzi, choć mówi niewiele i nie trzyma z nikim, tylko dla gromady dobra pragnie...

Pytano o niego. Ścibor rzekł.

– Do pszczoł poszedł...

Już się miało ku południowi, a ludzie się ściągali powoli; niektórym pilno było już poczynać bardzo, zaczęli kołem siadać wszyscy i najstarszych wołano, aby zagajali.

Najsędziwszy wiekiem był Żuła, z rodu Jaksów, kmieć bogaty, daleko w lasach mieszkający, który spokój lubił, a do obrad i wieców nie był nawykły. Za srogiego i okrutnika go miano, lecz sprawiedliwym też był, gdy sądzić przyszło. Musnął się starzec po wąsach i brodzie, a rzekł krótko, brwi namarszczywszy:

– Wybierajmy, a rychło... w domu każdy ma co czynić. Chciało się wam pana odmienić, próbujcie szczęścia... Nie mam ja co rzec, krom tego, że tu już widzę kneziów siła, choć i jednego nie mamy... o posłuszną gromadę trudniej będzie... Czemu bym i ja kneziem nie miał być?...

Myszkowie, jak inne rody, siedzieli kupą przy sobie, całe też zgromadzenie mirami i rodzinami się rozłożyło. Myszków było przecie pono najwięcej i najgłośniej szumieli. Na nich się też oczów najwięcej zwracało.

Każdy ród chciałby był ze swoich knezia dać. Najmożniejsi, równymi się Myszkom czując, cisnęli się też naprzód.

Ze krwi Leszków zeszło się także dosyć i stali z kmieciami na równi w prawie, nie chcąc im ustąpić. Na tych koso patrzano. Przybył też milczący stary Miłosz z oślepionym Leszkiem, którego przy sobie trzymał, na nim się opierając, jakby okazać chciał, że drogo za swą krew zapłacił. Z nim trzymali Bumiry i wielu innych.

Gromadami też siedziały rody Jaksów, Kaniów, Porajów, Starzów, Wizimirów i innych mnogo. Patrzyli ku sobie wszyscy, oczyma mówić się zdając:

– Tacyśmy dobrzy jako i wy.

Szeptano między sobą naradzając się.

– Myszka wybrać – rzekł jeden z ich drużyny – Myszka z krwawą szyją. Przecie już dowód dał, że wodzić umie... a nam witezia trzeba i wodza...

– Hej ! hej ! – przerwał drugi – czemu nie jednego z Kaniów, ci też oszczepem dobrze władną, a nam też i możnego trzeba, abyśmy nań składać się i zsypywać nie potrzebowali...

– To i Wiszów ród zamożny – mówił trzeci – a Wisz stary pierwszy życiem za wiec zwołany opłacił.

Wszczynała się już wrzawa, zgody nie było, zaczęli wołać za sobą Leszkowie, podstawując swoich jednego.

– Leszków mieliśmy już dosyć! – krzyczeć zaczęto – nie chcemy ich! Mścić się będą! Precz z nimi!...

Od słowa do słowa, rody się z sobą w kole ujadać zaczęły; wystąpiły nienawiści odwieczne, zemsty pozapominane, urazy stare. Powstało zamieszanie, a niektórzy już i pięści nastawiali.

Aż gdy do tego przyszło, Ścibor wołać zaczął o opamiętanie, że to wiec jest i że tu nie pięść, ale pocziwe słowo stanowi.

Ochłonęli zwaśnieni, oczyma się już tylko wyzywając i mruczając.

Ludek, Wiszów syn, choć młody, wystąpił śmiało, po sobie⁴ mając pamięć ojca.

– Wieści już chodzą – rzekł – że o losie Chwościska stary ojciec Niemkini i synowie kneziowi wiadomość mają. Ludzie

⁴ *po sobie* – dziś: za sobą. [przypis edytorski]

prawia, że w sam dzień ognistych wici synowie jego byli na grodzie, skąd ich w czas matka przez jezioro uprowadziła, aby z odsieczą naspieszali. Do Kaszubów i Pomorców posyłać mieli o posiłki... wtargną z nimi prędko, bo ich długo prosić nie trzeba. Ziemię nam spustoszą, zagrody popalą, nim się my na wodza zbierzemy... A nas by⁵ kupa była największa, bez głowy nie poradzimy.

Wtem wystąpił Dobek. Był on żupanem możnym, znali go wszyscy jako dzielnego, przebiegłego i wielkiego serca człowieka. Lat już na świecie przeżył ze czterdzieści, choć tego po nim znać nie było. Siłę miał taką, że niedźwiedzie dusił za szyję wzięwszy, a zamiast dzidy często drzewko wyrwawszy z korzeniem żgał nim jak drugi lekkim oszczepem. Konia dosiadłszy, gdy mu był nieposłuszny, nogami na śmierć ścisnął. Dla ludzi też na razie ostrym bywał, ale do bitwy, napaści i utrzymania ludu w ładzie nie było nad niego... gdyby gorącością nie psuł, co dzielnością dokazał. Znano go i z nienawiści ku Niemcom, bo nad granicą połapawszy niewolnika, zwykł był ich do sochy zaprzęgać i orać nimi. W dybach też u niego różnego stworzenia obcego co niemiara chodziło, które on ze psy razem karmił.

Czasu pokoju wesół był, ochoczy, do słowa łatwy, gdy miłował, serdeczny, nieulekniony niczym, a w potrzebie tym chytrzejszy, że się porywczym wydawał.

Ten Dobek tedy wlaźszy na kupę kamieni, mówić począł.

⁵ by – tu: choćby. [przypis edytorski]

– Knezia nam trzeba jednego, a swata się ich czterdziestu... za każdego swoją krew bić się gotowa... ustąpić nie chce nikt... Nie nowina to... Wszakci to powiadają u nas dawno, że gdy starszyznę wybierać przychodziło, Leszki aż do słupa biegały, inaczej zgody nie mogąc dopytać... Ano nam nie tyle końskich nóg, co ludzkiej głowy potrzeba... Więc... ano... po staremu... rzućmy na losy... prędzej będzie... nie umiejemy ludzie, niech wybierają bogowie.

Wszyscy zamilkli, nie w smak to poszło.

– Jak zgody nie będzie – zawołał Myszek Krwawa Szyja – dosyć mamy czasu na losy rzucać... Nie warto od tego poczynać, kiedy wolę swą mamy.

Wstał Doman.

– Czemu nie na losy? – zapytał. – Czasu by się nie marnowało. Pokładnijmy włócznie, każdy swoją, konia białego przyprowadźmy, którą włócznie nogą pierwszą potraci, czyja będzie, tego bogi chcą.

– Lub na Lednicę pošlijmy, na ostrów święty, sprowadźmy dziewczkę od ognia, połóżmy przed nią czapki rzędem, każdy swą... czyją wybierze, ten nam kneziem będzie... – odezwał się Zgorzelec.

Tu się dopiero swar i gwar wziął okrutny; losów nie chcieli za nic ci, co się pewnego wyboru dla siebie spodziewali. Zgody nie było... a tu i noc już nadchodziła.

Poczęto się ruszać z koła. Jedni po dworach pojechali nazad z niczym, drudzy się na grodzisku porozkładali, inni po okolicy

poszli obozować w gajach.

Leszka chcieli jedni, Myszka drudzy, Wisza inni, Dobka wreszcie i z dziesięciu jeszcze stawiono. Byli tacy, co już Dobka znając, okrzykiwać go chcieli, ale sam im usta zamknął.

– Nie chcę! – zawołał. – Wolę słuchać niż rozkazywać... i swobodnym być, niż mieć tysiąc panów. Uciekłbym raczej za kraj świata, niżbym się niewoli tej miał poddać...

Myszkowie, którzy się na pewno spodziewali, że ich jednym okrzykną głosem, odjechali gniewni i zasmuceni. Ale coraz więcej było takich, którzy mówili:

– Nie gorsiśmy od nich... mienia mamy tyleż albo i więcej, ziemi dużo, rodu mnogo... jeżeli im kniażyć, toć i my potrafimy.

I tak porozpraszali się wszyscy nieradzi z siebie, nieradzi z drugich, gniewni, nachmurzeni, niecierpliwi.

Wieczorem, gdy Piastun od swoich barci do zagrody powrócił, właśnie Dobek zajeżdżał przed jego wrota i zsiadał przed nimi.

– Ojczy Piastunie – rzekł – woleliście wy do pszczoł iść niż do ludzi, a gdybyście się byli do nas pokwapili, może byście nam z sobą zgodę przynieśli. Pszczoły by sobie bez was radę dały...

– A cóż się tam u was stało? – zapytał stary.

– Nic... słysząc tylko, że Chwostka synowie Kaszubów już na nas i Pomorzan prowadzą... my tymczasem nie im, a sobie pięści pokazujemy. Wiec się zrywa. A że my sami wybierać nie umiemy, jedni nam do wyboru konia radzą, drudzy dziewczkę, trzeci losy rzucane... i dREWienka... wreszcie choć do słupa biegać, jak za dziadów bywało.

– Widzisz, Dobek – rzekł Piastun spokojnie – żem dobrze do pszczoł szedł, bo tam w lesie ja wiem, com zrobił, a na grodzie ja ubogi człek z małym głosem, nic bym nie dokazał... Jużście się to rozjechali?...

– Jedni precz poszli gniewni, drudzy leżą i mruczą... inni, jako ja, gospody szukają... Przecie wybierać trzeba, bo nam niewybrany na kark siądzie.

Nazajutrz z rana i Doman podjechał do wrót z pokłonem, bo starego wszyscy szanowali.

– Cóżście to wy tak pobledli? – zapytał gospodarz, który go i nie widział dawno i nie słyszał o nim nawet.

– Nóż miałem w boku, krwi mi siła upłynęło! – rzekł Doman.

– Któż was pchnął?

– Wstyd rzec... dziewczka... Porwałem Wisza córkę, bo mi się srodze podobała... Na koniu będąc, w moich rekach, nóż mi mój własny wychwyciła i zadała ranę głęboką.

– Drogoście kupili dziewczynę...

– Anim jej dostał – odparł śmiejąc się Doman – wymknęła mi się i uciekła do chramu na Lednicę, a jam się długo lizać musiał...

Piastun rzekł:

– Znajdziecie drugą.

– Jużem ci i znalazł – dodał Doman – a co mi po tym, kiedy zawsze pierwszej żal.

Wtem się głos dał słyszeć z boku piskliwy.

– I gdyby nie ta stara wiedźma Jaruha, już by was na świecie

nie było... ha! ha!...

Obejrżeli się i ujrżeli staruchę, która do nóg się im kłaniając głową i rękami, uśmiechała się.

– A ty na wiec czy z wieca? – rzekł szydersko Dobek – może byś się nań przydała?

– Dopiero na wiec – ciągnęła dalej stara niezmieszana – czemu nie? Słyszałam ja, że tam ładu nie ma... Kto wie? Przyszedłby może ze mną... bo ja różne rzeczy w worku noszę... i wiele wiem... Powiedziałybym gromadzie baśń...

– Jaką? – zapytali ciekawi.

– E! to stara babska klechda... – szepnęła Jaruha. – Raz, mówią, trafiło się tak, że w mrowisku nie stało króla... Mrówczy pan z dębu spadłszy zabił się, a potomstwa po sobie nie zostawił... Tymczasem łakome ptactwo naciągało, aby złupić mrowisko... Zebrała się starszyzna i radzi... Jedni chcą komara wybierać, drudzy muchę, inni pajaka, byle nie mrówkę, bo one wszystkie czarne, a wszystkie sobie równe... Tak dobra jedna, jak i druga. Wybierali, wybierali i wybrać nie mogli, a ptactwo jaja dziobało tymczasem i wyjadało do szczytu... wszystkich równo... Aby ono to i tu tak nie było, miłościwi panowie. Ale starej babie co do tego?...

Rozśmieli się słuchający, a Jaruha pokłoniwszy się poszła do Rzepicy piwa się napić.

Więc przybyli mocno nalegali na Piastuna, aby z nimi nazajutrz na wiec jechał.

– A po co mnożyć głowy, kiedy i tak nie ma zgody? – odparł

stary. – Radźcie beze mnie, jam się nie zdał...

Nazajutrz dzień toż samo było. Zjechali się starsi radzić, a poczęli wadzić i zeszło na sporach, co było dnia. Widać było około stołba wijące się ludzi gromady, to przypadające do siebie, to odskakujące i rozchodzące się daleko, to nabiegające na siebie znowu. Ręce się podnosiły do góry... i głosy, rzucano czapki, potem wszyscy szli precz i za chwilę się do kupy cisnęli.

Zgody nie było... Leszkowie z jednej, Myszkzi z drugiej strony przewodzili. Wieczorem późnym Myszko Krwawa Szyja podjechał pod chatę Piastuna jak noc chmurny.

– Pozdrawiam was, ojcze.

– Z wiecu wracacie?

– Tak ci jest, z wiecu jadę... – westchnął Myszko.

– Cóż niesiecie?

– Wiadro próżne – rzekł z goryczą Krwawa Szyja – nie ma wody, nie ma zgody. Mało się już za włosy nie pobierzemy. Każdy by kneziem chciał być, a słuchać by się nikomu nie chciało.

– A wy? – zapytał stary.

– No... ja też... a ja prawo po sobie mam – rzekł Myszko – któż Chwosta przemierzonego zdusił, jeśli nie ja i moi? Kto szyi i zdrowia nastawiał? Juścim tak dobry jak i Leszki, jak Jaksy albo Kanie?..

– Pewnie – rzekł cicho Piastun – ale cóż będzie? Mówią, że Leszek i Pepełek ciągną?

– Nie ma co już i mówić o wyborze – dodał głosem

stłumionym – kto ludzi zbierze więcej, sam się kneziem ogłosi... i będzie na grodzie panował.

– A po cóż tamtego zrzucać było? – odezwał się stary – wszak i on takim prawem siedział.

– Cóż, jeśli do zgody nie przyjdzie – przerwał Myszko – czy lepiej, aby nas jedli Niemcy, czy aby swój za łeb wziął?

Gospodarz umilkł trochę, w ziemię patrzył.

– Czyńcie jako wiecie, ale wiec szanujcie – rzekł po chwili. – Co się stało Pepełkowi i Leszkom, może i drugih spotkać...

– Ja nad sobą innym nie dam przewodzić! – krzyknął rękę do góry podnosząc Myszko.

I z tym, jakby zagniewany, odjechał.

Nazajutrz dzień na grodzisku nie było nikogo. Stado wróbli po nim latało, zbierając prószyny po koniach i po ludziach, świergocąc jak wczoraj ludzie, kłócąc się i czubiąc o ziarna, jak wczora tamci o panowanie nad sobą.

Piastun siedział na przedsieniu, dziwiąc się w duszy swej, że ludzie tak bardzo pragnąć mogli tego, co było strasznym brzemieniem i cieszył się też, iż ubogim był, a nie potrzebował do sporów należeć i stać mógł na uboczu.

Wiec, powiadano, rozszedł się z niczym lub gorzej jeszcze, bo ci, co nań przybyli druhami, popowracali wrogami, w sercu z żalem i nienawiścią. Myszkowie zwłaszcza nieprzyjaciół napytali i współzawodników, a Leszki po cichu cieszyli się z wszystkiego, bo niejeden już głowę ku nim obracał, mówiąc: – Lepiej niech

stary ród nam panuje, byle zakonu⁶ strzegł.

Pusto było na grodzisku dni kilka, ale wrzało i gotowało się po zagrodach.

Nadchodził dzień świąteczny żniwa. Zdało się tym, co przewodzili, iż za drugim razem wiec nie darmo się zbierze i wybór stanąć musi. Poczęto więc znowu obwoływać się na zbór⁷ a sejm nowy nad Gopło. Pojechali Myszkowie po swoich, Leszki też i inne rody, zbierając druhów dla narady i poparcia.

Wielu już zrażonych iść nie chciało. Byli i tacy, co się cieszyli, że knezia nie mieli, bo danin, osypów⁸ i służby do grodu nie było, a gdy o najazdach mówiono, głowami potrząsali, utrzymując, iż Niemce doma i nad Łabą mieli roboty do dosyć, a nad Wartę się tak rychło wybrać nie mogą.

Tymczasem, że dzień nowy naznaczony był świąteczny, a niektórzy myśleli, iż chlebem sobie ludzi zjedną, kazali na wozy nabrać mięsiwa, kołaczów⁹, piwa i miodu, i wieźli je z sobą dla częstowania. Tak uczynili Myszkowie, a gdy się o tym dowiedział Bumir i jego drużyna, nie chcieli się też dać wyprzedzić, naładowali co w domu mieli na wozy i konie i ślali na gród.

Zbór nie był tak gromadnym jak pierwszym razem, ale wyglądał uroczyściej.

⁶ zakon (daw.) – prawo. [przypis edytorski]

⁷ zbór – tu: zebranie, zgromadzenie. [przypis edytorski]

⁸ osyp – danina świadczona w naturze, w ziarnie zbóż. [przypis edytorski]

⁹ kołaczów – dziś popr. forma D. lm: kołaczy. [przypis edytorski]

Ludzie też baczniejsi, bo doświadczeński, więcej się przysłuchiwali niż mówili i serca sobie jednać usiłowali.

Już koło zasiąść miało, gdy z dzidą w rękę nadciągnął Wizun stary, który przybywać się zdawał znużony z drogi dalekiej.

Starzec poważanie miał u ludzi nie tylko dla doświadczenia i rozumu, bo w ciągu życia dalekie zwiedzał kraje, i znał prawie wszystkie, gdzie sięgało „słowo”, ich obyczaje, ład, zakony, prawa wszystkich gromad i plemion siedzących poza Wisłą i Dnieprem, i po Tatry, i nad Dunajem, nad Łabą i Odrą, i nad Morzem Białym – ale wróżbitem¹⁰ też był wielkim i prorocznie widział a wiedział, co się dzieć miało... Chadzano doń nieraz po radę, acz jej szczodrym nie był. Wszyscy mu więc okazali radość wielką, iż na wiec przychodził, a spodziewali się, iż przemówiwszy do zgody nakłoni.

Więc gdy się z dala ukazał, i Myszkowie i Leszki witać go szli, a nim do mówienia o sprawie przystąpili, wystawiono niecki z mięsiwem i chlebami i napój, prosząc wszystkich – na strawę.

Posiadano na ziemi około wozów. Wizunowi poczesne miejsce zrobiono i częstować się poczęli z dobrą myślą. Dzień też był dziwnie pogodny i piękny; napoju wszelkiego stało siła, a gdy się raz ugaszczać zaczęto, ani się postrzeżono, jak dobra część dnia na ucztowaniu zeszła. Wizun milczał. Myszkom się zdało, że go mieli za sobą, a Leszkowie prawie byli pewni, iż przeciwko nim nie stanie. Więc nim do koła szli, prosili go, aby im radę dał, co czynić mieli dla rychlejszego sprawy końca.

¹⁰ *wróżbitem* – dziś forma N.lp: wróżbitą. [przypis edytorski]

Stary obejrzał się dokoła i namyśliwszy począł.

– Po tom ci ja tu się przywłókł, ażeby wam prawdę przyniósł, nie z siebie ale z tego źródła, skąd ona płynie. Umyślniem odbył pielgrzymkę do miejsc świętych pytając, co czynić, abyśmy się od biedy uratowali. Wracam z niej właśnie. Byłem daleko, byłem po kontynach Światowida, Radegasta¹¹, Porewita¹²... byłem na Kołobrzegu, Szczecinie, w Retrze¹³ i na ostrowiu świętym Ranów, u Czarnego Stawu... Bogowie tam królują, którzy całemu plemieniu naszemu rozkazują, Obodrytom¹⁴ i Wilkom¹⁵ równie jak Ludkom¹⁶ i Polanom...

Nie ma u nas takich chramów¹⁷ i takich bóstw, jak te, co są u Redarów i Ranów... czcimy i my przecie Rugiewida o siedmiu twarzach i mieczach siedmiu, Trygłowa o trzech głowach, Porewita o czterech obliczach z piątą na piersi, Światowida, który czterema głowami patrzy na cztery świata strony...

Tam ja do nich chodziłem po wróżbę i wieszczbę dla nas,

¹¹ *Radegasta* a. *Radzigost* – bóg ognia czczony w Radogoszczy; Swarożyc. [przypis edytorski]

¹² *Porewit* – bóg o pięciu twarzach czczony na Rugii. [przypis edytorski]

¹³ *Retra* – Radogoszcz, gród plemienia Ratarów. [przypis edytorski]

¹⁴ *Obodryci* a. *Obodrzyce* – plemię zachodniosłowiańskie stojące na czele Związku Obodrzyckiego, w skład którego wchodził również Połabianie, Warnowie, Wagrowie, Drzewianie, Smolicy i Linianie. [przypis edytorski]

¹⁵ *Wilcy* – Wieleci. [przypis edytorski]

¹⁶ *Ludkowie* właściwie *Lutyci* – Wieleci stojący na czele Związku Wieleckiego, w skład którego wchodził również Ratarowie, Sprewianie, Doleńcy, Czeczpienie i in. [przypis edytorski]

¹⁷ *chram* – świątynia. [przypis edytorski]

stamtąd wam przynoszę, co mi rzeczone...

Obejrzał się, słuchano w milczeniu, a Myszko spytał.

– Jakżeście się do Retry dostali?

– Któż co starcowi bezbronnemu miał uczynić? – odezwał się Wizun. – Zatrzymywali mnie Wilcy po gościńcach nie jeden raz, ale puścili wolno... Do Radegasta też niełatwo się dobić... Leży kontyna na wyspie zewsząd wodą otoczonej jak Lednica nasza, długa hać¹⁸ i mosty prowadzą do niej, a gdyś już na ląd wszedł, dziewięć bram przebywać musisz, a do każdej z nich pukać i prosić się, bo u każdej stróż stoi czujny dniem i nocą, a pyta cię i opatruje. Nie puszczają zaś więcej jak trzech naraz do chramu. Kontyna¹⁹ stoi na podwyższeniu, z trojgiem wrót w tynach, co ją otaczają, z których dwoje się tylko otwiera, a trzecie tajemne do wody prowadzą... Bóstwo stoi całe złożone w koronie na głowie, na rogach jeleni i kozłów, misternie wywyższone pod dachem purpurowym, ze słupy malowanymi, a obok niego łoże jego królewskie purpurą zasłane... I wkoło bogowie drudzy we zbrojach, z mieczami... Tamem ja naprzód szedł o wyrocznię pytać...

– Cóż ci powiedziała? – zaczęli szemrać otaczający.

Wizun spuścił oczy.

– Musiałem na wyrocznię czekać... póki mi nie przysła w jednym słowie: Wybierzcie pokornego... Nie dość mi na tym

¹⁸ hać – grobla zbudowana z bali drewnianych, gałęzi itp. [przypis edytorski]

¹⁹ kontyna – świątynia. [przypis edytorski]

było i szedłem na ostrów święty, nad Czarny Staw, na Jasmund²⁰, do Rekony²¹... pytałem u Tryglowa i Światowida... Światowid mi rzekł: Wybierzcie małego. Tryglów kazał powiedzieć: Wybierajcie ubogiego... Pytałem Rogu Światowida przez miód, który w nim stoi i rzeczono mi, że niepokój i wojna czeka nas, dopóki **mały** nie będzie uczyniony **wielkim**...

Słuchając Wizuna wszyscy się po sobie oglądali i widać było na twarzach frasunek, a stary mówił dalej.

– Com przyniósł od wyroczni bogów, to i w sobie nosiłem wprzód... Zgody nam prędko potrzeba i jedności... Zwędrowałem wszystkie plemiona i narody nasze, jakie na ziemiach siedzą od Dniepru do Łaby, od jednego do drugiego, od siniego do białego morza, i liczyłem w myśli, wiele nas jest, a jak my mało możemy... Jedni z nas już się Niemcom poddali i trzymają z nimi; drudzy z sąsiady braćmi wojują; inni się po lasach chowają, a swoich o miedzę znać nie chcą... Każdy żyje, jako woli, a do kupy się zebrać i w kupie zgodzić najtrudniejsza rzecz... Chodzili jak ja nieraz Polanie nasi do Ranów, do świątyni, spotykali się tam z Serbami i Ludkami, i Dulębami, i Wilki, i wszelkimi plemionami jednej mowy, pili z nimi z czary razem, chleb łamali, a nazajutrz znać się nie chcieli...

Niemcy mają jednego wodza, a gdy się pokłóć, ten ich jedna jak matka dzieci przy misce, obojgu po głowach dając naukę; u nas swoboda panuje, a kto chce, szarpie... Dla onej swobody,

²⁰ *Jasmund* – półwysep na Rugii. [przypis edytorski]

²¹ *Rekona* właśc. *Arkona* – stolica państwa Ranów na Rugii. [przypis edytorski]

pana nie znając, zwierdom dzikim dostajemy się na pastwę...

Gdy inaczej nie może być, choć nasze ziemie i miry niech zgodne będą, a niech wybiorą, jako rzekły wyrocznie, pokornego, małego, ubogiego...

Gdy Wizun skończył, panowało długie milczenie, a co wprzód każdy się wielkim czynił, teraz by był rad mniejszym się stać lub okazać. I nie w smak szły te wróżby znaczniejszym, a na starego szemrali.

Wtem z tyłu poczęły niecierpliwe gromady wołać.

– Do rady! Do koła!

Wszystkie rody poczęły się kupić i ustawiać, a każdy swoich zalecać. Wnet i o przepowiedni zapomniano. Myszkowie się krwią przelaną i pracą chlubili, Leszkowie stali przy jakimś prawie, inni bogactwem się zalecali.

A że gromada Krwawej Szyi najliczniejsza była, śmielsi poczęli już go obwoływać, ale zaledwie to posłyszano z przeciwnego końca, zerwała się burza i odskoczyła połowa, ani znać go nie chcąc za wodza.

Tuż najpokorniejszego z Leszków wywoływać zaczęto, lecz zagłuszyła wrzawa ze strony przeciwnej luźne głosy.

Ci, co w kole siedzieli, powstawali, rozpierzchli się, rozbiegli.

Zgody nie było... Część znaczna precz szła na okopy, pokładła się na trawie i pijąc, narzekała na drugich. Wizun stał z boku na swej dzidzie oparty i uśmiechał się. Słońce zapadało.

Wtem na zdyszanym i potem oblanym koniu przypadł człowiek w koszuli, z dala już ręką coś ukazując a krzycząc.

Porwali się wszyscy, biegnąc ku niemu. Zsunął się wtem z konia, wołając głosem wielkim.

– Synowie kneziowi z Pomorcami i Kaszubami a Niemcy już idą na nas... już puszcze na granicy przestąpili...

Ledwie to usłyszawszy, wszyscy do koni swych biegli, popłoch i wrzawa się stała niezmierna.

– Tegośmy się doczekali spierając i krzycząc! – krzyknął Dobek gniewnie. – Rozbiegniemy się li teraz, potraciwszy głowy, to zginiemy wszyscy, bo nas po jednemu wybiorą, jak wróble ze strzechy powykręcają...

Leszkowie milczeli stanąwszy na stronie, im się z synami Chwostka łatwiej było porozumieć. Myszkom o głowy szło... zwołali się do kupy osobno.

– Na koń, kto żyw, niech każdy swoich ludzi zbiera... – poczęli zaklinać – nie ma czasu na długie rady... Gromadą iść i ławą im zastąpić drogę... Nie staniemy im do oczów, później już nie czas będzie...

Dobek przerwał gwałtownie.

– Do domów, po ludzi! – zakrzyknął nakazująco – czeladź idźcie zbierać... nazajutrz wszyscy z czym kto ma, tu nad Gopło... a stąd razem ruszmy na wroga... Wieczora i nocy starczy! Na koń! Na koń!

Dosiadali też już koni, chwytając je z paszy i od wozów, kto co napadł, rozsyłano gońców i nim mrok nadszedł, grodzisko znowu stało pustym i milczącym.

Gdy noc zapadła, w stronie, z której się spodziewano najazdu,

dalekie łuny już widać było na niebie.

Nazajutrz nie przybył nikt jeszcze na zborne miejsce, wszyscy się gotować musieli, niejednym i dzid i oszczepów brakło... Trzeciego dnia dopiero zaczęły się gromady powoli spływać nad brzeg jeziora. Wieść o napaści wroga ruszyła wszystkich, z odleglejszych też osad szły gromadki.

Nie pytając wyboru, Dobek, który się pierwszy znalazł na placu, sam sobie dowództwo nadał, a posłuszeństwa mu nie odmawiano. Silnym był dość, aby je wymóc, gdyby mu się kto sprzeciwił.

Ledwie ówczesny lud zbrojny, mógł się nim nazywać. Nie byli jeszcze Polanie narodem wojennym i łupieskim, ale rolniczym i spokojnym. Konieczność obrony uzbrajać się im kazała, a uzbrojenie lichym było.

Żelaznego oręża mieli mało, miedziana stara broń u niewielu się znajdowała; szła czeladź uzbrojona w młoty kamienne i obuchy, pałki nasiekiwane, łuki, proce i pociski. Kawał łubu lipowego stał za zbroję, a ozdobną zwała się tarcz, gdy ją kto skórą jedną lub dwiema obciągnął. Siekiery i noże, na jakie kogo stało, wiązano do pasa i do konia.

Czeladź i parobkowie pieszo szli, co przedniejsza drużyna i kmiecie jechali konno, na głowach dla osłony mając albo kruszcowy kabłąk, lub czapkę tylko, na ramionach kręgi mosiężne, które od uderzenia mieczem obraniały²².

²² *obraniać* – dziś: bronić. [przypis edytorski]

Każdy ród wiódł swą gromadę, nie bardzo sformą²³, grozą i strachem trzymając ją w posłuszeństwie.

Dobek latał opatrując gromady i szykując jedne przy drugich, a tu mu czeladź zaraz się waśnić poczynąła, że ją uspokajać kijem musiał. Myszków sługi z Leszkami stać obok nie chcieli. Lecz Dobek gdy się rozpałił, ani spał, ani jadł, ani spoczął, póki do potyczki nie doprowadził. Wojnę lubił i dopiero żył, gdy dzidę w rękę wzięwszy, na konia siadł. Śmiały mu się oczy i drgały usta. Ku wieczorowi powysyłał najprzebiegiejszych ludzi na zwiady, aby dopytali, gdzie się nieprzyjaciół obracał. Dopiero języka dostawszy, miał przeciwko niemu wyruszyć. Tymczasem odstąpiwszy nieco, u jeziora położył się z ludźmi w gaju, aby nocą ich nie zdradziły ogniska i dymy.

²³ *sformy* – posłuszny, karny. [przypis edytorski]

II

Wrócili wysłani z tym, że Niemców nieopodal już słysząc było – podpełznąwszy widzieli ich nawet, ale sił obliczyć nie mogli.

Szli zabierając ludzi, spędzając trzody, zagrody paląc, łupy garnąc jakie pochwycić mogli, kędy się przesunęli, zostawała po nich pustynia i zgliszcza.

Czas było co najprędzej naprzeciw nim wystąpić, aby dalszą zaprzeć drogę, bo każdy dzień ludzi wielu życie i mienie kosztował. Ale straszono gromady walką i uzbrojeniem, a zbierana kupa czeladzi, nie starczyła na taką siłę, Dobek więc postanowił ciągnąć cicho, aby ich na noclegowisku napaść śpiących.

Cicho i ostrożnie przerzynać się poczęli lasami, po bokach, w prawo i lewo, posłał leśnych ludzi, co i po ziemi, i po drzewach chodzić umieli – aby przepatrywali, gdzie się nieprzyjaciół znajdował i jak go osaczyć najlepiej.

Drugiego dnia w głębi puszczy naszli na cały obóz niewiast z dziećmi, starców i niedołężnych, z trzodami i dobytkiem, którzy ze dworów i chat zbiegli, chroniąc się przed nieprzyjacielem na niedostępne uroczyska.

Płacz i trwoga panowała między nimi. Siedzieli na ziemi jęcząc, zawodząc, tuląc się do siebie za każdym szmerem w dali, zdradzając się krzykami.

Ci mówili, że wiele już ludu poszło w pęta, a mało kto zawczasu zbiec mógł, ratując życie. Lasy, łązy i trzciny nad wodami za przytułek służyły, ale i stamtąd psy, których gromady ciągnęły z Pomorcami, schronionych płoszyły.

Pomorcy z Niemcami szli pustosząc ogniem i mieczem, lud tylko młodszy wiązali w łyka i gnali za sobą. Na czele ich stali kneziowie Leszek i Pepełek, za rodziców zemsty chciwi.

Kmieciów schwytyanych bez litości na dębach wieszano.

Jęki niewieście, kwilenie dzieci, żałosne wołania starców nie dodały serca Dobkowej gromadzie, ale do zemsty budziły.

Zbiegi mówiły z przerażeniem o ludziach całych w żelazo pozakuwanych, ze szczytami²⁴ kruszczowymi, od których strzały odskakiwały, których pałki nie brały. Za tarczami tymi stali jak za murem z żelaza.

Dobkowi serca przybyło i gniewu, mówili mu, że łupiąc zagrody zapijali się, a najadłszy i opiwszy nocami jak wieprze leżeli, dysząc bezsilni.... a kto by ich napadł wówczas, tylko by wiązać i dobijać potrzebował.

Z tych zbiegów złapanych w lesie stary jeden się podjął drogą ku Niemcom pokazać. Przeleżeli tu do zmierzchu; jak mrok po cichu wyciągnęły gromady, krajem lasu posuwając się ku północy. Księżyc na niebie nie było i noc okryła ich chmurna.

Szli tak długo, zwracając na różne strony, gdy wreszcie zza drzew, ujrzeli w dali szeroko porozkładane, dogasające ogniska.

Dobek wysunął się naprzód rozpatrzeć, jak ognie leżały,

²⁴ szczyt (daw.) – tarcza. [przypis edytorski]

by po nich siłę nieprzyjaciela policzyć. A było ich tyle, że rachować przestał, bo mu siec było pilno. Nie spodziewali się znać najeźdźcy, aby im kto śmiał czoło stawić i odpoczywali bezpieczni. Gęsty las z jednej strony, dozwalał się podkraść niemal do samego obozowiska w dolinie.

Ludzie na ziemię się pokładłszy, pełznęli cicho na brzuchach. Obóz Pomorców był dla nich łakomą zdobyczą, choćby się nie obciążył łupami. Lud tam się do nich kupił z całego wendyjskiego wybrzeża, aż do ujścia Łaby, zbóje i łotry ze szerokiego świata. Pomorcy, wojownicy razem i przekupnie, mieli też u siebie doma, czego dusza zapragnęła. W Winedzie mieniali swoje skóry i bursztyny na żelazo, na miecze, sukna i towary idące z południa, wschodu i zachodu. Choć mowę, mieli słowiańską, ale serca już niemieckie, byle łupu dostać gotowi byli iść na swoich, służyć każdemu, palić i zabijać choć braci rodzonych. Chciwość ich ciągnęła i zwierzęca dzikość.

Przebiegłszy kawał kraju, w którym tylko zgłiszcza i pustkę zostawili po sobie, zniszczywszy osad kilka, złupiwszy dworów wiele, położyli się właśnie obozem u lasu, w miejscu bezpiecznym. Osłaniała ich puszcza, jezioro i błota dokoła. Spoczywali bez straży. Jadło się warzyło²⁵ w kociołkach, tarcze i miecze leżały porozrzucane po ziemi. Pozdejmowali pasy, pociskali²⁶ żelazne blachy, aby im lżej dychać było.

I leżąc śpiewali dziko, a wśród pieśni straszne krzyki a wołania

²⁵ *warzyć się* (daw.) – gotować się. [przypis edytorski]

²⁶ *ciskać* – rzucać; tu forma: pociskali, tj. porzucili, porozrzucali. [przypis edytorski]

słyszec się dawaly.

Pastwili się nad niewiastami i dziećmi pozabieranymi w drodze. Nieopodal od obozu ich widać było skupioną gromadę ludzi łykami i powrozami pokrępowanych; jeńcy to byli, którzy głodni, pokrwawieni, pobici leżeli na piasku, a nikt im chleba nawet nie rzucił. Stado psów ujadało nad nimi. Jęczeć nie śmieli, bo słabych zabijano... Niewiasty na rękach trzymały martwe już dzieci, żywi i trupy razem leżeli.

Ludzie Dobkowi, podpełznawszy, z przerażeniem poznawali swoich między niewolnikami – w sercu się im gotowało. Opodal trochę stali Kaszubowie i Niemcy, a tych mniej było. Dobrze uzbrojeni, dodani przez dziada wnukom Sasi trzymali się na uboczu, straż przy nich odbywając. Sami kneziowie na pagórku, pod szałasem odpoczywali bezpieczni.

W obozie śmiechu, rechotania i pieśni pełno było. Czasem tylko dwu zbójów, przemówiwszy się²⁷, porwało z ziemi i cisnęło się na siebie, chwyciło za bary, padając, gniotąc i tarzając. Inni z nich stroili śmiechy. Czasem wstał który, aby do jeńców pójść i łuku na nich spróbować.

Polanie mieli czas dobrze się rozpatrzyć i rozmyślić. Pomorcy, którzy najbliżej ich leżeli, cale²⁸ się niczego nie spodziewając, tak zawodzili i wrzeszczeli, iż zbliżających się posłyszeć nie mogli. Łamane gałęzie i szmer pochodu, wiatru szum głużył i pieśni. Dobek ze swoimi zbliżył się na sam kraj lasu, kilka kroków go

²⁷ *przemówić się* – pokłócić się. [przypis edytorski]

²⁸ *cale* (daw.) – wcale. [przypis edytorski]

dzieliło od najeźdźnika.

Konie jazdy opodal nieco się pały na łące. Dobek, który jak bartnik na drzewa łązić umiał, z wierzchołka starej sosny obejrzał dobrze, jak był obóz rozłożony i kazał swoim wprzód, nim by się na odpoczywających rzucili, starać się ich osaczyć dokoła jak zwierza w ostępie, drogę im zapierając do ucieczki.

Stało się tak; z jednej tylko strony od pola zająć ich nie było można, bo by zawczasu popłoszono, na dany dopiero znak zabiec i z tej strony mieli ludzie, aby nikt nie uszedł z życiem.

Jedną część oddzielił Dobek, by się natychmiast do jeńców podkradła i pęta ich poprzerywała. Oni też mieli na wroga paść i swoim dopomóc do rzezi.

Gdy wszystko było gotowym, przemysłny Dobek stanął z mieczem na przedzie i od pasa róg wzięwszy dał znak, aby się rzucono na Pomorców.

W obozie, choć usłyszano głos ten, nikt się nie ruszył; sądzili, że który ze swoich znak daje, nie ułękli się i nie spłoszyli. Gwar i śmiechy szły górą.

Wtem z lasu posypali się Polanie pędem lecąc i spadając na karki leżącym, wprzód nim za broń pochwycić mogli.

Krzyk straszliwy, ze stu wrzasków złożony rozległ się jak grzmot po lesie i już rzeź rozpoczynała okrutna. Jeńcy też z okrzykiem ruszyli zbrojąc się w głównie i koły, bliższych niewiasty zrozpaczone chwyciły za gardła rękami i dusiły nim na nogi porwać się uspieszili²⁹.

²⁹ *uspieszyć* – zdążyć; por. ros. *uspriet'*. [przypis edytorski]

Tylko dalej leżących gromada wstała, lecz w zamieszaniu i popłochu gniotła się sama, zabywszy³⁰ broni i lecąc to ku jezioru, to na las, gdzie im zastępowano drogę.

Choć ze wszech stron razem napadnięto na obozowisko, do pagórka na którym stali kneziowie i Niemcy dobiec tak rychło nie pośpieli³¹ ani Dobek, ani jego kmiecia drużyna.

Z góry spostrzegli Niemcy, że na Pomorców uderzono i mordowano, chwycili wnet za miecze ludzie żelaźni – ale już było za późno. Pomorcy ściśnięci wili się bezbronni, padając pod oszczepami i młotami. Niektórzy pełzając uchodzili w zarośla i ginęli po drodze, inni na ziemi leżąc o darowanie życia prosili daremnie.

Kaszuby, stojący też dalej, podnieśli się zrazu, za broń chwyciwszy, ale na nich rzuciła się nawała wielka, zagnała ich na pobojuwisko i trupy, na ciała pobitych, ku lasowi, od którego na nich drudzy czekali.

Niemcy sami jedni, zostawszy garstką niewielką, opasali Leszka i Pepełkę, których konie u szalasu stały i z nimi co tchu i siły uciekać zaczęli na pole. Ciemna noc ucieczce sprzyjała, w pogoń za nimi puścił się Dobek w kilkanaście koni, lecz pierzchali tak szybko, iż dogonić ich najmniejszej nie było nadziei.

Wrócili więc, spodziewając się, że ta mała garść tułając się po spustoszonej kraju, zagarnięta być musi lub wybita.

³⁰ *zabyć* – zapomnieć; por. ros. *zabyt'*. [przypis edytorski]

³¹ *pośpieć* – zdążyć. [przypis edytorski]

Na obozowisku rzeź okrutna pomściła zniszczenie. Mało kto stąd wyniósł życie. Własne miecze Pomorców porzucane na ziemi, służyły do mordowania, łyka ich przygotowane – do wiązania tych, co o miłosierdzie prosili, wykup obiecując za siebie.

Jeńcy, którzy tylko co jęczeli spętani, nie spodziewając się już nigdy zagród swoich oglądać, jakby na nowo na świat się narodzili, szaleli z radości, całując zbawców swych nogi. Inni jak pijani dobijali trupy na pobojuisku.

Zwycięstwo było wielkie, bo Kaszubów mało co, podając tył, ująć podążyło, a i tych jeszcze część wybito po drodze.

Z północy skończyło się wszystko, radość niezmierna śpiewami się rozlegała po lesie. Dobek leżał pod dębem i pot z czoła ocierał. Kazał wnet stanice bogów powbijać z dzidami na placu, rozpaścić ognie, a trupy pobitych, gdy je odarto, zwlec na kupy i palić na stosach.

Jeńcy natychmiast poczęli nosić gałęzie i toczyć kłody. Rzucono pozabijanych na ogień, innych do jeziora spychać kazano i pagórki ogniste wznosząc się na pobojuisku, daleko łuną swą oznajmywały³² zwycięstwo. Siedząc około nich śpiewano pieśni.

Łupu, broni różnej i kruszcu, łuków i młotów, tarcz skórą obszywanych i obijanych blachami nabrano tak wiele, że jak drzewa stosy leżały. Niewiasty, starcy, dzieci, które z pęt uwolniono, stali u ognia opowiadając, skarżąc się, dziękując

³² *oznajmywały* – dziś: *oznajmiały*. [przypis edytorski]

obrońcom. Choć mało kogo życiem darowano, i jeńców przecie do dwu kop się zebrało. Tych zaraz łykami i powrozami spętano mocno i na to samo miejsce spędzono do kupy, gdzie niedawno swoi jęcząc leżeli.

Gdy się tak powoli uspokoiło wszystko, poszła starszyzna rozpatrywać pobranych, śledząc, czy między nimi się kto z dowódców i znaczniejszych nie ukrywał. Ale ci leżeli twarzami do ziemi i musiano im łby podnosić za włosy, aby zajrzeć w oczy. Pomorcy, lud dziki, korzyć się i litości prosić nie mieli zwyczaju. Leżeli pokrwawieni, tuląc oczy i czoła, nie sycząc nawet, choć ich powrozami do krwi pokrępowano, a z ran broczyli posoką³³.

A gdy upartym głowy gwałtem do góry unoszono, niejednemu jeniec wściekły, rzuciwszy się, palca odkąsił, choć wiedział, że go tam zaraz oszczepem do ziemi przybiją.

Gdy tak szli, Dobek, Ludek syn Wiszów i Bolko Kania, potracając nogami leżących, na boku spostrzegł Ludek człowieka rudego związanego, który oczyma nań łypnąwszy, głowę prędko za plecy towarzysza ukryć się starał. Wyciągniono go wnet z kupy za nogi – aż gdy twarz osmalona na jaw wyszła – Ludek zawołał:

– O! ten ci to jest, który ich tu pewnie prowadził, wypatrzywszy wprzód drogi! Znam ja go, to Niemiec, Hengo się zowie. Zamianą wrzekomo po chatach chodził, był u ojca naszego, łamał chleb z nami, a poznawszy kraj, teraz Niemców braci przyprowadził, służąc im przeciwko nam...

Dobek krzyknął porywczo.

³³ *posoka* – krew. [przypis edytorski]

– Na gałąź z nim!

Lecz Ludek wstrzymał.

– Nie – dajcie go mnie, dyby mu nałożą i do sochy zaprzagnę, za wołu stanie, bo silny. Niech żywie, śmierci z mojej naprawy³⁴ dlań nie chcę, bo naszym gościem był.

Ludkowa czeladź na skinienie zaraz go odprowadziła, lecz nim odszedł, na ziemię padłszy, płakał dopraszając się litości. Przysięgał, iż wcale winnym nie był zdrady, bo go kneziowie z sobą gwałtem pochwycili wiedząc, iż był u Polan, ale dróg im nie okazywał. Iść tylko musiał, bo mu śmiercią grożono. Wiary mu jednak nie dając, w pętach precz go nazad odciągnięto.

Zebrane drużyny legły odpoczywać na pobojowisku, weseląc się i ofiary bogom składając dziękczynne za zwycięstwo.

Stosy z trupami, do których drew przyrzucano, rozplonęły jasno – stała się noc jako dzień. Lasy dokoła, jak złotem oblane, drżały, gorzały łunami pola dalekie, ogromne słupy dymu purpurowego wyrastając ponad puszcze, nad wzgórza – daleko i szeroko roznosiły postrach jednym, drugim przecucie zwycięstwa.

W kotłach znowu ponastawiano jadło, warzono i pieczono, pozasiadała starszyzna rany zawiązywać i opowiadać, jak walczyła, a czeladź tymczasem gromadziła łup, rozkładając z osobna tarcze, odzież, miecze. Było się czym obdzielać i w czym wybierać, bo łupieski żołnierz niósł z sobą dużo wszelkiego mienia i nigdy zdobyczy obfitszej nie pamiętali ludzie. Radość

³⁴ *naprawa* – tu: namowa; por. daw. *prawić*: mówić. [przypis edytorski]

stad czeladzi była wielka.

O pogoni za resztą Kaszubów i Niemców, nikt już nie myślał – utrzymywali nawet kmiecie, że kneziowie klęską tą odstraszeni, nie odważą się na drugi najazd i Pomorców ani Kaszubów do posiłkowania nie znajdą tak łatwo; a Niemców z dala sprowadzić nie będą mogli.

W obozie teraz znalazło się do zbytku wszystkiego, najeźdźcy łupiąc po drodze, wieźli z sobą nawet beczki z miodem i piwem, pobrane po dworach, pod lasem całe trzody stały w zasiekach, zabijano więc bydło dla nakarmienia ludzi i do rana przeciągnęło się ucztowanie i ofiary.

Nad świtaniem, wśród tej radości i dostatku, ochota się wzięła wielka a zbytnia, tak że gdyby naówczas owa garść Kaszubów wróciła na pobojowisko, łatwe by może nad biesiadującymi odniosła zwycięstwo.

Jeńcy tylko, jak skoro nadszedł dzień, podziękowawszy wybawcom, zabrawszy z trzód, co kto poznał za swoje, do zagród popalonych odciągać zaczęli. Reszta, strażę rozstawiwszy, na ziemi leżąc się pospała.

Słońce już było wysoko, gdy czujniejsi budzić się zaczęli – a tu głód znowu czuć się dawał – powrócono więc do mięsa, piwa i miodu, a biesiadowano znów do nocy.

Ta gdy ich zaskoczyła, nie czas już ruszać się było – zmęczenie dawało się czuć wszystkim, pozostali więc na pobojowisku. Tylko że ze spalonych trupów smrodliwy dym im dokuczał, położyli się nieco opodal, drew przyrzuciwszy, aby się ciała

podopalały do szczętu.

O wieczornej porze Ludek, kazawszy przyprowadzić przed siebie Henga i z litości go nakarmiwszy, badać zaczął wraz z Dobkiem. Posądzano bowiem Niemca, iż wiedział więcej, niż się przyznawał. Nic z niego jednak prawie dobyć nie mogli mimo groźby. Prawił tylko, że dziad dwu młodych Pepelka synów, który nad granicą za Łabą siedział i zbrojnego ludu miał pod dostatkiem, dla pomszczenia córki i pomocy wnukom wszystko ważyć był gotów, że młodzi zajadli też byli i odważni, zatem, jeśli by do swoich dzielnic nie mogli powrócić, nieustannie Polanów niepokoić będą. Dawał też do zrozumienia, iż zgoda łatwo by się mogła dać zrobić, gdyby się o nią postarano.

Puszczono go z tym nazad, Dobek szedł ze starszyzną radzić, co miał dalej przedsiębrać – czy na granicę iść mścić na Pomorcach napady nieustanne lub do domów powracać. Wszyscy jeszcze świeżym zwycięstwem zagrzani, gotowi byli iść na kraj świata i wojować, postanowiono przynajmniej granicę spłądować i nastraszyć najeźdźców w domu. Jak świt więc dalej ciągnąć miano. Ludkowi tylko i Domanowi zdano jeńców pomorskich, aby ich odprowadzili i jako niewolników rozdali po kmiecych zagrodach. Do dnia poczęło wojsko ruszać na wyprawę, stanice podniesiono do góry, jazda na koń siadła, kupy piesze gromadzić się zaczęły. Ludkowa czeladź, co Pomorców pędzić miała, biczami smagając poczęła ich zmuszać do wstawania z ziemi. Straszny był widok tej dziczy zrozpaczonej, która, losowi swemu nie chcąc się poddawać, wyła, targła się,

rzucała, dopóki biczyskami jak trzoda nie została zmuszona do pochodu. Pędzono ich pieszo, otoczywszy konnymi, z rękami w tył powiazanymi, poczepionych razem. Ciągnęli się nie mogąc uciec ani nawet ruszyć inaczej, tylko wlokąc jedni drugich za sobą. Na pół nadzy, poodzierani, ranni, wlekli się, padali i wyli. Upartszych³⁵ koniom do ogonów przywiązywano. Henga sam Ludek na postronku prowadził, aby mu nie uszedł.

Tak gdy Dobek ku granicy szedł, Wiszów syn z jeńcami powracał i z dobrą wieścią – niewolników po kilka do zagród rozdając – co we żniwa bardzo się przydało.

Wszędzie z radością wielką witano tego posła zwycięstwa – bo łuna widziana nocą, postrach była rozniosła. Ludzie biegli przypatrywać się pobranym zbójom, obrzucać ich przekleństwami³⁶ i razami. Pozostających zabijano w dyby, by uciec nie mogli.

Starszyzna jednak zazdrościła Dobkowi odniesionego zwycięstwa, lękając się może, aby wojsko w rękę mając po władzę nie sięgnął – niepokoiła się spóźnionym jego powrotem i odkładanym knezia wyborem.

Mruczano powtarzając rozkazy wyroczni, aby wybrano pokornego, ubogiego i małego.

Myszkowie i Leszki znowu swoich objeżdżali. I jedni, i drudzy stawali często przed zagrodą Piastuna, żądając od niego rady, a wymawiając mu, że pszczoły swe więcej kochał niż sprawę mirową, od której trzymał się z dala.

³⁵ upartszy – dziś: bardziej uparty. [przypis edytorski]

³⁶ przekleństwa – dziś forma N. lm: przekleństwami. [przypis edytorski]

Stary uśmiechał się milcząc.

– Gdybym ja pomóc mógł – mówił – chętnie bym rękę przyłożył. Cóż ja mogę, biedny, gdy możni, jak wy, nic potrafić nie umiecie? Bogów tu raczej prosić trzeba niż ludzi, aby oni nam dopomogli. Łatwiej było złego obalić, niż na lepszego się zgodzić.

Leszków nikt nie chciał, aby się za krew swoją nie mścili. Myszków się lękano, by nieprzyjaciół i niechętnych sobie nie prześladowali.

Spokój, który na chwilę zapewniało zwycięstwo, dozwalał odetchnąć i przygotować wiec nowy.

Poczułi już możniejsi, że jedni drugich nie dopuszczą do władzy. Wyrocznia też chodziła ze swą radą po głowie, rodziła się więc u wszystkich myśl, aby wybrać takiego, co by pokornym i małym będąc, wdzięcznym był im za cześć i wyniesienie, a łagodnie z niego poczynął. Szło tylko o wynalezienie człowieka.

Na każde imię było więcej tych, co mu się sprzeciwiali, niż co by je popierać chcieli.

III

Korzystając z uspokojenia, Doman się do wesela sposobił. Chciał je mieć hucznym i głośnym, stary też zdun, który córkę za bogatego kmiecia wydawał, pragnął pokazać, iż go stało na przyjęcie i uraczenie choćby najliczniejszych gości. Z obu stron przygotowania czyniono wielkie.

Doman naprzód, odziewszy się bogato i czeladź postroiwszy, wędrował od dworu do dworu, družbów sobie na wesele spraszając.

A gdy tak jechał i stanął po drodze przed Wiszów zagrodą, ścisnęło mu się serce – Dziwa przypomniała mimo woli.

Ludka znowu doma nie było, bo zdawszy jeńców, za Dobkiem pośpieszył nad granicę, młodszy brat gospodarzył.

U wrót stanawszy, ręce sobie podali.

– Dziewkę sobie biore – odezwał się do niego Doman – za družbę was proszę...

– Będę wam chętnym družbą – odparł chłopak. – Cieszę się, żeście o naszej zapomnieli...

Popatrzał mu się Doman w oczy i rozśmiał niewesoło.

– Nie myślcie – odpowiedział – żem sobie dziewczynę napytał jak wasza... Kraszy chciałem, więcej nic... hoża jest i młoda! ... Biorę córkę zduna znad jeziora Lednicy... Co mi tam! nie dbam czy mi co przyniesie!... Oczy jej się śmieją, może i ja poweseleję... bo mi jakoś nierażno... Weźcie więc konia a

gotujcie się do drogi... będziecie mi bratem, niech ludzie wiedzą, że zemsty nie szukam i żeśmy druhami jak dawniej.

Ścisnęli się znowu za ręce, pożartowali chwilę wesoło i Doman pojechał dalej. W chacie u Wiszów wiadomość o tym zadziwiła niewiasty; Żywia, stojąca u ogniska, zarumieniła się mocno, spuściła oczy. Może myślała, że się odezwie do niej i ją weźmie. Teraz, bez ojca i matki, cicho było i smutno. Bratowe popychały, bracia nie bronili bardzo... Poszłaby była z nim, ale – brał inną. Taka dola...

Stary zdun trochę o garnkach zapomniał, gotując wesele. Córka też mu nie dawała pokoju, tak wielu rzeczy jej było potrzeba. Mirsz na nic nie żałował.

Miód dawno sycony na to wesele stał pogotowiu, piwo warzyć zaczęto, a chmielu dosypywano do niego dostatkim; tego chmielu, o którym stara pieśń niosła, że psotnik, nic dobrego, „z dziewcząt robił mężatki”, bo go przy weselach dużo spijano.

Baranów i koźląt dość też na rzeź naznaczono, a i wieprzaków kilka miało paść ofiarą. Na kołacze mąka sucha, wysiewana stała w bodni³⁷, pogotowiu.

Jednego dnia Jaruha znalazła się w progu zagrody, dobrawszy znać taką porę, gdy stary zdun był u pieca zajęty. Spojrzała na Milę i twarz się jej od śmiechu tak wykrzywiła i pomarszczyła jak grzyb, który człek nogą przycisnie.

Wzięła się wiedźma w boki.

– A co, Miluchno? a co?... może się stara nie zna? może

³⁷ *bodnia* – beczka. [przypis edytorski]

nie umie zaczynać i odczyniać? może ziele jej nieskuteczne?...
Dajże mi piwa, bo w gardle zasycha...

Dziewczę zarumieniło się, zmieszało, pobiegło prędko kubek piwa podać starej. Ta w progu usiadła, torbę położyła na ziemi, dobyła placka kawałek i z rozkoszą do ust poniosła napój ulubiony.

– Widzisz – mówiła powoli uśmiechając się i mrugając – żupanam ci dała, a będziesz panowała... a gdyby nie ja i nie mój lubczyk... ho! ho! albo by to nie było nigdy lub nierychło. Stare baby młodym się też na coś przydać mogą. Zaczynić i odczynić... przyciągnąć, odepchnąć... my to wszystko znamy... Będzie ciebie kochał – dodała ciszej – a jeśli tam u niego już są inne jakie... te ci służyć będą jak niewolnice. U bogatych ich bywa wiele, a tobie to co szkodzi?...

Zarumieniła się Mila znowu i oczy zakryła rączkami.

Teraz jakoś, gdy otrzymała to, czego pragnęła, lękała się i trwożyła. Przyszło jej to tak łatwo! Strach ogarniał.

A Jaruha piwo piła i głowę potrząsała, nie czekając odpowiedzi. Kubek był już próżny, milcząc podała go Mili i dziewczę napełniło raz drugi.

Jaruha wypróżniła go chciwie.

– Na cześć Trójgłowski, Miluchno – odezwała się – daj trzeci kubek, to się już powlokę. Nogi mam słabe, muszę pić na jedną, a potem na drugą nogę i na rękę też, która kij trzyma, bo to tak jak trzecia noga...

I śmiała się Jaruha, śpiewać już zaczynając.

– O! o! co oni tu porobili, co porobili na tym białym świecie naszym! – poczęła smutniejąc nagle i głową wahając z jednego ramienia na drugie. – Kneź i biała pani... oboje... poszli do ojców bez stosu i pogrzebu! Mnie ich szkoda... gród pusty! Trawa rośnie na zgłiszczu... Kneźna się na ziele знаła, wiedziała co z nim robić! o! o! nosiłam i ja jej ziele, na młodziku³⁸ rwane po mogiłach... Dawała czasem pić i jeść, dni dwa i trzy, płótna kawałek, sukna okrawek... Kneź szczuł sobakami z podwórza, bo młode ściszał, a starych nie lubił... ale mnie żaden pies nie ukąsi. Zaraz by się wściekł. Teraz na grodzisku... het, pustki i węgle... nie ma nic. Sroki skrzeczą tylko... Chodziłam grzebać w kupach popiołu... ino gdzieniegdzie kostki bieleją... Szkoda dworu malowanego! szkoda!

Dopiwszy trzeciego kubka, rozweseliła się znowu, otarła usta, oczy się jej zaświeciły, chciała wstać, nie mogła, dziewczę ją podniosło z ziemi. Podparła się na kiju, zmocowała i głowę kiwnąwszy, powlokła się dalej śpiewając:

– O lubczyku, ziółko złote!... Jaką ty masz wielką cnotę, czy pan czy chłop, nic nie pyta, a za serce wnet go chwyta... o lubczyku, dobre ziele, prośże ty mnie na wesele!...

Obiecując sobie przybyć na nie, choć nieproszona, Jaruha, która nigdy na miejscu nie mogła długo usiedzieć, dalej się powlokła.

W drugiej chacie krowa mleko dawać przestała, trzeba ją było okurzyć, aby czar i uroki zadane odczynić... Dalej ktoś w życie

³⁸ na młodziku – w czasie nowiu księżyca. [przypis edytorski]

zawiązał węzeł na chorobę i cały zagon stał nietknięty, aż Jaruha go dopiero rozplątać mogła bez szkody. Znała tajemnic wiele, odejmowała zimnicę, uspokajała tych, których duchy o ziemię rzucały, sama się czasem dziwiła sobie, iż umiała tak wiele.

Po tym piwie chmielnym świat wydawał się jej dziwnie wesoły i jasny, chociaż nogi za to ledwie się wlokły.

Doman wedle obyczaju przysłał swaty; naznaczono dzień wesela. Zdjęto koło na tyce zatknięte nad chatą, oznajmujące parobczakom, że tu coś było do wywiezienia.

Mila dobrała sobie drużek sześć, wszystko krewniaczek z okolicy, których się powstydzić nie mogła, bo wszystkie były hoże, młode, świeże jak ona i wesołe, a żadna nad nią piękniejsza nie była.

Doman też sześciu družbów prowadził z sobą, wszystkich, jak jeden, kmiecych synów dorodnych, z których każdy suknią, kołpaczkiem, pasem i koniem się mógł pochwalić, zręcznością, przytomnością i siłą.

Dziewierza³⁹ nie miał; Wisz mu go zastępował, prowadząc družbów za sobą. Poszły zaprosiny urzędowe naprzód od dworu do dworu z wieńcami i śpiewami, wedle dawnego obyczaju, od ojca dziewczyny i od pana młodego. W chacie zduna zawczasu kręciło się niewiast biało odzianych bez liku; siostra Mirsza starego miejsce matki zastępowała.

³⁹ *dziewierz* – ojciec pana młodego (**świekr**) a. brat męża (**szwagier**); tu: starszy wiekiem mężczyzna z bliskiej rodziny pana młodego, pełniący funkcję pierwszego družby. [przypis edytorski]

Lecz, jak to bywa często przed weselem, choć się wszyscy radują, Mila, co tak za kmiecia iść pragnęła, czuła jakąś trwogę, a Doman, choć ją znajdował piękną, gniewał się na siebie, że go serce gdzie indziej ciągnęło. Żal mu było jej i siebie.

Ale cóż? słowo się rzekło... musiało się odbyć wesele, jak zapowiedziano.

Stary Mirsz też, choć nie przeciwiał się doli, chodził chmurny, chata mu opustoszeć miała ze szczętem. Bracia też milczeli posepni.

Po cichu za węgłami mówili sobie:

– Wolelibyśmy, aby poszła za swoim, za zdunem... Kto wie, jaki ją tam los czeka i ile ich tam jest?...

W przeddzień wesela wszystko było pogotowiu. Chata wybielona, wymieciona, wykadzona jadłowcem i ładanem⁴⁰, posypana kosaćcem, u drzwi powieszano wianki, wszystkie naczynia postawiono nowe. Około dziewczyny, jak zwykle, zasepionej i smutnej, kręciły się drużny wesole i przybrana macierz stara. Stojną była Mila na ten dzień ostatni w najcieńsze płótno, w najpiękniejsze pierścienie i kolce, które od ojca miała; dziewicze kosy pozaplatane starannie raz ostatni ją zdobiły.

W chacie już od rana nie ustawały pieśni na chwilę, bo każda godzina tych dni uroczystych miała swoją, którą odśpiewać musiano.

Przed przybyciem młodego zaczęto już korowaj⁴¹ miesić,

⁴⁰ ładan – mirra. [przypis edytorski]

⁴¹ korowaj – ciasto; świąteczne białe pieczywo. [przypis edytorski]

placek weselny, na którego przyjęcie piec się dopalał jasno i wesoło.

Dziewczęta koło dzieży stały i sypały w nią siedem miarek mąki jak śnieg białej, lały miód, lały wodę kryniczną, a każdemu sypaniu i laniu każdemu nowa pieśń towarzyszyła, co je tłumaczyła.

W takt potem pieśni białymi rękami ciasto ugniatały niewiasty, śmiejąc się i żartując z narzeczonej smutnej, w której smutek udany nie bardzo kto wierzył, choć oczy miała naprawdę zapłakane.

Z pieśnią się odbył taniec wkoło dzieży, w której ciasto rośło, z pieśnią poczęto lepić misternie korowaj święty, ofiarny, na którym spleciona kosa panny młodej siedziała i ptaszki, i pozatykane gałązki zielone, jagódki czerwone, kłosy dojrzałe... Wszystko to były godła dziewictwa, młodości, wesela, które się z tym dniem ofiary kończyło, a poczynąło od niego życie trudu, łez i pracy, które jedna miłość miała osłodzić.

Gdy korowaj był skończony, ulepiony, ustrojony, z nową pieśnią do pieca go niesiono uroczyście, rzucając z nim razem kukułki z ciasta urobione, ptaszki poświęcone bóstwu żywota – Żywi.

Zamknięto naówczas piec, przy którym starsze niewiasty pozostały na straży, a pannę młodą posadzono uroczyście na ulu zasłanym ręcznikami i drużny poczęły nucić smętny śpiew pożegnalny, zamykający w sobie całe dzieje młodości, żal po domowych progach, źródle z którego wodę czerpała, ogródku,

gdzie rutę sadziła, po dobrych braciach, po ojcu i macierzy kochanej, po złotych dniach majowych.

Mili płynęły znów łzy z oczów, gdy jej kosy rozplatano. Pana młodego nie było jeszcze, spodziewano się go, wyglądano co chwila. Brat miejsce jego zasiadał przy siostrze, jako dawny jej stróż, opiekun i obrońca ze krwi prawa.

Zmierzchało już, gdy zatętniało na drodze i – plaszcząc w dłonie, druwny wołać zaczęły.

– Księżyc jedzie młody!

Księżycem dnia tego był Doman, któremu sześciu młodzieży na koniach towarzyszyło, w kołpakach futrzanych z piórami, w pasach kowanych⁴², w opończach suto bramowanych, z ręcznikami bogato szytymi przez ramiona.

Pan młody, choć bladej jeszcze, krasą i odzieżą wszystkich przechodził. Konia pod sobą siwego miał z długą grzywą, okrytego suknem czerwonym, któremu na łbie świecił czub błyszczący. Pas na nim cały był z kólek złocistych, pod szyją zapinka świecąca, u boku lśniący miecz, na głowie czapka z piórem i łańcuszkiem.

Na stajanie od chaty puścili się ku niej cwałem, a gdy u proga stanęli, aż ziemia zatętniała.

Broniono im przystępu zrazu, niby najeźdźcom i gwałtownikom, co na cudze dobro czyhali, nie dawano im przejść proga, musieli się spierać, opowiadać i okupić. Dopiero ich przepuszczono, gdy podarki dali. Doman wiele ich wioził z sobą,

⁴² *kowany* – kuty. [przypis edytorski]

a gdy z krasnej chusty wysypał u nóg młodej, dziewczętom się aż zaiskrzyły oczy. Były tam zamorskie, z dala przywiezione klejnoty, pierścienie, naszyjniki, naramienniki, korony na głowę, szpilki i para garści pieniążków srebrnych i droższe nad nie może paski malowane, pstre wstęgi, które tylko z Winedy dostawano, dokąd nie każdy wiedział i przebyć mógł drogą. Był i kubek jakby złoty i naczynie przeźroczyste z drogiego kamienia, któremu się wszyscy dziwowali, bo było niby z lodu, a słońce na wskroś przez nie patrzyło.

Tymi darami okupił sobie młody miejsce przy dziewczynie, którego mu brat ustąpił. A tuż i korowaj wynoszono i różgę weselną zieloną, całą we wstęgi przybraną, w blaszki, pióra i strzępki, z szytym ręcznikiem krasnym.

I znowu brzmiała pieśń na pół żałosna, pół wesół, żal za domem, za swoimi, przyszłości obawa, przeczucia pracy ciężkiej, modlitwy do bogów i wróżby.

Wtoczyli się też zaraz za młodym do świetlicy dwaj gęślarze i dudarz z kobzą – grajki weselne, co i pieśniom wtórować, i pieśniami kierować, i do skoku przygrywać umieli.

Chata już pełna była jak nabił. Mirsz stary częstował i prosił, bracia z dzbankami chodzili i poili, piwo i miód nalewano nieustannie. A że w izbie miejsca wkrótce nie stało, chłopcy i dziewczęta koło wiedli w podwórku, gdzie i gędźba⁴³ usiadła na przyzbie.

Pieśni a pieśni, lały się jedna po drugiej.

⁴³ *gędźba* – muzyka, akompaniament do śpiewu a. opowiadania. [przypis edytorski]

Śpiewano za młodą, za braci, za młodego – prześpiewano tak niemal noc całą. Nocka była letnia, gwiazdzista, księżycowa, ciepła, nikomu się spać nie chciało. Starzy chyba siedząc zdrzemnęli się po miodzie na ławach, drudzy na trawach pod drzewami, a gędzba nie ustawała. Co jeden przerwał, to poczynął drugi.

Młody siedział przy Mili, a patrzył na nią i wzdychał, tej serce biło ze strachu. A! tamtych dni, gdy się jej ptaszkiem z chaty furknąć chciało, o tym smutku i obawie pojęcia nie miała. Skądże się teraz wzięły te łzy i ta trwoga?...

Doman też pasem się bawił, na ścianę patrzył, milcząc się niby uśmiechał, a gdzie był myślami, o tym nikt nie wiedział.

Tymczasem druhny nuciły.

Żegnaj mi progu domowy, żegnaj ogródku ruciany, studeńko, w której ja wodę czerpałam dla mojej trzódki. Żegnaj mi sestro kochana, żegnaj mój bracie rodzony i tobie, ojciec mój siwy, do nóg upadam spłakana... W świat idę, obcy mnie wiedzie, wianek mój z strumieniem płynie, kukułka wróży na brzozie, łzy z oczów cisną się gorzkie... Ojciec mój, bracia rodzeni, kiedy ja znów was zobaczę? Tam mi obarczą ramiona, nikt nade mną nie zapłacze...

Tętni droga, lasy gwarzą, potok szumi na dolinie... Brzęczy coś, huczy coś, ktoś do chaty pędzi... Księżycowe lice, oczy ma jak gwiazdy królewicz to pan – po naszą dziewczynę. Cały w złocie, w jasnej szacie, przy nim drużby królewicze, złotem, srebrem przepasani, jak jabłuszka malowani. Hej! otwórzcie

chaty wrota, družyna jedzie od złota, po dziewczynę, po malinę... Dary ojcu wielkie wiozą, bratu, siostram i macierzy... Nie płacz, otrzyj oczy czarne, wianuszek mu oddaj rada... Malowany dwór u niego, złote progi, srebrne statki... A! ja płacząc, łzy mi biega, nie będzie mi jak u matki...

O słońca wschodzie ruszył cały pochód na uroczysko pod dęby święte; stary ojciec miał im tam pobłogosławić. Družby na konie posiadali, pannę młodą na wóz wsadzono cały sukniem okryty, cały kwiatami obwieszony. Za nią jechały nucąc a zawodząc drużny, goście, tłum ciekawy.

U starego dębu młodzi szli po kolei wszystkich prosić o błogosławieństwo, padli ojcu do nóg, przybranej matce, wszystkim stojącym dokoła, aż do małych dzieci. Potem za ręce się pobrawszy kołaczem się łamali, włożono im korony na głowy, pili z kubka jednego, dłoń w dłoni siedem razy dąb święty obeszlili dokoła i ojciec ich trzykroć ziarnem obsypał, a poza nimi stojąca družyna ciągle pieśni nuciła weselne.

Wylano bogom ofiarę, odpędzono czary i uroki, kadzono zielem, rzucano liśćmi, kropiono wodą i orszak cały nazad się puścił do chaty.

Tu zabrzmiały pieśni nowe a inne. Dziewczęciu rozplatano włosy, kosę⁴⁴ dziewiczą obcięto i głowę czepcem osłonięto, a gdy biała namitka⁴⁵ otoczyła czoło młodej, łzy się jej z oczów

⁴⁴ *kosa* (daw.) – warkocz. [przypis edytorski]

⁴⁵ *namitka* – chusta osłaniająca głowę, czoło i szyję, noszona daw. przez kobiety. [przypis edytorski]

rzuciły żałosne, śpiewy rozległy tęskne i bolejące. Żegnały ją družki dziewice... ale gęślarz głośniej w struny uderzył i płaczu słyszeć nie było.

Do skoków stawać musieli weselni i na gwałt się weselić, aby wieczór ten złą dla życia nie był wróżbą.

Zanucono pieśni chmielne, bo też chmiel w głowach panowanie swe rozpoczynał.

– Chmielu ty psotniku, co ty robisz z ludzi, dziewczą szła z chaty, mężatką się zbudzi... Chmielu ty, mój chmielu, jak ty psujesz głowy, świat był wczoraj czarny, dzisiaj mi różowy... Chmielu, co po tyczce zwijasz się do góry, chciałoby się z tobą tak ucześcić której... Dziewczęta, dziewczęta, uciekajcie z drogi, chmiel idzie, pan idzie, popodcina nogi... O chmielu, o chmielu, cudowneś ty ziele, przez ciebie jest szczęśliwych i biednych jest wiele. Chmielu ty weselny, królu nasz a panie, niechaj choć do jutra trwa twoje panowanie...

O chmielu!...

Całą tak noc tętniała od skoków chata Mirszowa, tętniało i rozlegało się podwórko, niektórzy znużeni na przyzbie spocząwszy ledwie, wracali pić i skakać.

Już młodzi byli na świronku w łożnicy, a piwo i miód bez ustanku krążyły. Kto przypadł, ten sam sobie do woli czerpał z kadzi, bo w taki dzień każdy gościem był miłym. Kupy też tych, co szli na Lednicę, z ciekawością zwracały się ku chacie, stawały, zbliżały, dudarz grał, a gęślarze śpiewali.

Już słońce wstawać miało, gdy ujrzano z pola śpiesznym

krokiem idącą o kiju starą babę. Stawała niekiedy, oglądała się jakby przelekła, podnosiła kij i wołała coś przeraźliwym głosem, ale słów dosłyszeć nie było można, bo i dudarz grał donośnie, i gęślarze śpiewali, a młodzież hasając pokrzykiwała.

Wiedźma coraz żywiej biec zaczęła zdyszana, poznano w niej z dala Jarułę.

– Co jej jest? – zawołał stary Mirsz – leci jakby oszalała...

– E! ona tak zawsze! – śmieli się inni – lubi piwo, a chmiel z nią czyni, co chce, gotowa jeszcze pójść w skoki...

A Jaruha szła, biegła, oglądała się poza siebie strwożona i kijem kędyś pokazywała. Włos miała rozwiany w nieładzie, bieliznę pomiętą i zdartą, nogi pokrwawione.

Dobiegłszy zdyszana pod same wrota, krzyknęła:

– Uciekajcie! uciekajcie! Jedzie, toczy się smok, gadzina! Pomorcy idą! Wrogi tuż, za mną w ślad...

Usłyszeli wszyscy, ale nikt nie chciał uwierzyć własnym uszom i szalonej kobiecie.

– Tuman się toczy, dymy kłębią – tętni ziemia. Uciekajcie, uciekajcie, komu życie miłe. Ludzie ratujcie się, Pomorcy idą!

Podniosła ręce obie do góry krzycząc i upadła zmęczona.

Stary Mirsz popatrzał w dal milczący i wpadł do chaty.

– Kto żyw, na konie! – zawołał. – Jaruha przybiegła z wieścią, nawala Pomorców się toczy. Uciekać! Stara oszalała może, może stado owiec za Pomorców wzięła. Niech kto jedzie, podpatrzy. Tumany jakieś widać w dali.

Popłoch padł na taneczników, jak gdy kania się nad stadem

kuropatw uwiesi, ale głowom zagrzanym nie bardzo się wierzyć chciało. Mężniejsi się ku drzwiom rzucili, a dziewczęta i niewiasty do komory – krzyki zastąpiły śpiewy, głośniejsze od nich.

Doman też wypadł z chaty, za rękę wiodąc Milę przestraszoną i płaczącą, która czoło i oczy tuląc w dłonie, wołała:

– O doloż moja – o dolo!

W podwórku zwijając się, wszyscy jak poszaleli wołali głosami różnymi.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.